

Utarczka z Zygmuntem Nowakowskim (1891-1963)

Florian Śmieja



Zygmunt Nowakowski, fot. Narodowe
Archiwum Cyfrowe.

Kiedy na cmentarzu Hampstead w Londynie chowaliśmy Kazimierza Wierzyńskiego, opodal jego mogiły widać było wcześniejsze groby, poety Tadeusza Sułkowskiego oraz świetnego felietonisty, krytyka teatralnego i prozaika, Zygmunta Nowakowskiego.

Nowakowski, wieloletni członek zarządu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, wielki miłośnik Krakowa, ustawicznie obecny w naszych konwersacjach dzięki ciętym felietonom w londyńskim „Dzienniku Polskim”, popularny gawędziarz rozgłośni Radia Wolna Europa, dla młodych rzecznik sztywnej postawy emigracyjnej, był postacią malowniczą i kontrowersyjną. Grzmiącym dzwonem. Jego wypowiedzi w

prasie i radiu brzmiały jak orędzie.

Przed młodymi zakryta była jego świetna przeszłość i twórczy dorobek. Dopiero po jego śmierci dowiedziałem się, na przykład, że był również aktorem i kiedyś grał główną rolę w „Księżu Niezłomnym”. Oglądałem natomiast w Londynie jego sztukę „Gałązka rozmarynu”. Po bardzo udanym przedstawieniu autor skromnie stwierdził, że:

To święto nie jest moim świętem, ale świętem słowa, wolnego polskiego słowa, które ja, obok innych pisarzy, dziennikarzy czy aktorów, wedle najlepszych intencji wyrażam.

Tego słowa, rzadkiego talentu elokwencji, nieraz używał w zabiegach o wsparcie dla ulubionego tygodnika „Wiadomości” z różnym rezultatem u bogatych arystokratów i ludzi zamożnych.

Nowakowskiego nieraz ponosił temperament, a wtedy dopuszczał się ostrych i gwałtownych napaści i oskarżeń. Pisane językiem barwnym były dotkliwymi sztychami, trudno się było przed nimi obronić, a nieobyci młodzi, jeżeli już wchodzili z Nowakowskim w szranki, czuli się zmuszeni do używania broni równie rażącej w swej niezdarności i grotesce.

Tak było w 1957 roku, kiedy grupa początkujących pisarzy skupiona wokół miesięcznika młodych „Merkuriusz Polski” zaprosiła do Londynu Czesława Miłosza. Jego decyzja pozostania na Zachodzie wywołała długo toczącą się dyskusję, emigracyjne koła kierownicze spodziewały się jego pojawienia się w Londynie w roli petenta przeproszającego za współpracę z PRL-em, a myśmy go zaprosili na wieczór autorski i do tego do Sali Sztandarowej Instytutu im. gen W. Sikorskiego.



Spotkanie z Czesławem Miłoszem. Od lewej: Florian Śmieja, Czesław Miłosz, Zofia Poniatowska-Śmieja, fot. arch. F. Śmieji.

Wieczór się odbył. Liczna publiczność tłoczyła się nawet na schodach prowadzących do sali. Zygmunt Nowakowski dał upust swojemu niezadowoleniu z takiego obrotu rzeczy. W felietonie w „Dzienniku Polskim”, z 3 października zagrział, że lokal, w którym się odbył wieczór Miłosza, należało wykadzić.

Jako organizatorzy spotkania zaprotestowaliśmy i wzięli w obronę naszego gościa. Będąc redaktorem naczelnym pisma wysłałem list do gazety, by napiętnować „niewybredną napaść na osobę prelegenta”. Ciągnąłem dalej, że:

Uważamy, że Zygmunt Nowakowski nie ma prawa rozstrzygać, czy Miłosz jest osobą do przyjęcia przez emigrację, tak jak nie ma podstaw do piętnowania go. Ośrodki kulturalne służą całej społeczności polskiej i źle by się stało, gdyby miały się one kierować listą proskrypcyjną. Dlatego jesteśmy pełni uznania dla kierownictwa Instytutu gen. Sikorskiego stosującego kryteria zachodnioeuropejskie.

Dylemat młodego Polaka na emigracji zwięźle ilustruje dwuwiersz Miłosza:

Przed sobą widział gładką ścianę Wschodu,

Za sobą mury polskie ciemnogrodu.

Najnowsze wystąpienie p. Nowakowskiego utwierdza nas w przekonaniu, że jest on jednym z filarów tego ostatniego.

Tę moją odpowiedź, choć utrzymaną w wątpliwym tonie, „DziennikPolski”, którego Zygmunt Nowakowski był współdyrektorem, zamieścił 14 października 1957 roku. Oprócz tego w naszym miesięczniku napisaliśmy o Nowakowskim:

[...]odmawiamy mu prawa do wyrokowania, czy zaproszony przez nas wybitny poeta polski Czesław Miłosz mógł przemawiać „pod sztandarami” w instytucie im . gen. Sikorskiego. Odmawiamy mu prawa do nazywania Stefana Kisielewskiego i Jerzego Zawieyskiego „wysłannikami reżymu”.

Dodam, że w owym czasie Zygmunt Nowakowski nie był bynajmniej jedynym pisarzem, który takich dosadnych określeń niefrasobliwie używał.

Ostre wymiany epitetów, na szczęście nie oznaczały zerwania wszelkich stosunków i kontaktów. Pamiętam, jak kiedyś potem spotkałem Nowakowskiego na ulicy. Miał słaby wzrok i trudności z chodzeniem. Ująłem go pod ramię i zaprowadziłem do banku, do którego szedł. Nie omieszkałem przy okazji włożyć mu do kieszeni najnowszego numeru naszego czasopisma.

On nam nie pamiętał grubych określeń pisanych w afekcie i młodzieńczej nietolerancji. Trzy lata po incydencie z Miłoszem Nowakowski napisał felieton „Kula u nogi?” Był to jego błyskotliwy komentarz do dyskusji, jaką wówczas przeprowadziliśmy w naszym piśmie na temat języka zastanawiając się, czy w naszej sytuacji język polski był dla nas najwłaściwszy, czy nie należało się od niego uwolnić i przyłgnąć do języka angielskiego. Zygmunt Nowakowski ani przez moment nie wątpił, że jednak zwycięży język polski. Cytując fragment mojego przekładu hiszpańskiej prozy poetyckiej, nie szczędził mu najwyższych pochwał i zakończył tak:

I czy ktoś, kto tak pisze, może kiedykolwiek wyrzec się pisania po polsku? Czy polszczyzna i polskość może być u niego kulą u nogi?

Mimo, że widział, że stare i młode pokolenie pisarzy na uchodźstwie odnosiły się do siebie z obojętnością i chłodem, nie miał wątpliwości, co do tego, który język młodzi wybiorą. Decyzja nie zapadnie w dyskusji, argumentował:

Ona wykluje się sama, w samotności, w pasji, w trudzie, w męce, w wewnętrznym szamotaniu się. Decyzja taka nie może być dziełem rozwagi. Ona przyjdzie pewnego dnia jak piorun. I będzie wyrazem solidarności nie wykalkulowanej na zimno, nie wyrozumowanej, ale radosnej tajemniczej solidarności z Polską, przed którą nie da się uciec nigdzie, nigdzie ukryć, nigdzie zamknąć.

- Dodając:

A język, zamiast kulą u nogi lub wędzidłem, stanie się ostrogą do lotu.

Czy myślę nieskromnie, sądząc po latach, że przeczucia Nowakowskiego jednak go nie zawiodły ?